

WIADOMOŚCI ILUSTROWANE.

№ 22.

Wilno, 1 (14) czerwca 1914 r.

Rok II.



Józef Ignacy Kraszewski, ur. 1812, zm. w r. 1887.

Ziemi...

Ziemi lechicka, matko moja święta,
 Krwią ofiar użyzniona; kto pod włoskiem niebem
 Za twoją twarzą smutną, za razowym chlebem
 Nie tęsknił i nie płakał, kto cię nie pamięta —
 Niech jego pamięć będzie u braci przeklęta!
 Cmentarzysko ty stare, świątynio w ruinie...
 Każdy strumień twój zda się tży gorzkimi płynie,
 A gdy wichur zaszumi twą starą dąbrową...
 Słychać w nim jęki, szluchy i pieśń pogrzebową...
 Smutek tu mówi z drzewa równie jak z człowieka
 Ale urok w nim taki, tak ciągnie zdaleka,
 Że od szczęścia na twoje żałości ucieka
 Czyja się tu do życia otworzyła powieka.

* * *

Ziemi lechicka... ziemi ukochana,
 Jakżeś ty ślicznie przez Boga ubrana...
 Gdyby dziewica w niedzielnej odzieży,
 Gdy na próg chaty w wieńcu róż wybieży...
 Jak pięknie niebo twym równinom świeci,
 Jak zdrowy powiew karmi twoje dzieci!
 Od morza brzegów, do grzbietu Karpatów,
 Złocistą falą płyną pola twoje...
 Srebrnemi wstęgi wiją wód twych zdroje...
 Pagórki zieleni kobierców okrywa,
 Ziemi lechicka, ziemi urodziwa!
 Szczęsny, kto na twem urodził się tonie
 I spracowany legł na twym zagonie...
 Jest czem odetchnąć — gdzie się rozpościerać

I żyć dlaczego i za co umierać.
 Ziemi lechicka, ziemi ukochana —
 We wszystkie dobro od Boga odziana,
 Jakby zwierzyniec one twoje bory,
 Pole twe, jako śpichrze i komory,
 Miodem i mlekiem pierś twoja nabiera,
 Sąsiad z zazdrością w oczy ci spoziera,
 Ale na straży ni gród ani wały —
 Stoi lud mężny, miłością drży cały...
 Któżby tej ziemi nie kochał — macierzy!
 Raz ją ujrawszy w królewskiej odzieży,
 W złocie, bisiorach i błyszczącej zbroi,
 Gdy dziatki swoje i tuli i poi...
 Kiedy im pieśnią starą w serca wlewa
 Miłość, co żywi, miłość, co ogrzewa.
 Przeleć oczyma ponad te obszary —
 Postuchaj szumem, co mówi bór stary;
 Pokłoń się dębom świętym u rozdroży,
 Rzekom się pokłoń, w nich płynie źródło Boży...
 I tym zagonom, na których, wśród żyta
 Mak i bławatek na wieńce rozkwita,
 Piersią zaczerpnij powietrza i woni,
 I oko poślij w głąbie tych ustroni!
 Patrz, jaka cisza tę ziemię okrywa,
 Błogostawiona, weselem szczęśliwa!
 A kto się rodził, kto tu przeżył lata —
 Chaty nie odda za wsze złoto świata!

J. J. Kraszewski.

DOLA PISARZA POLSKIEGO.

Za granicą, w zachodniej Europie życie i czyny wielkich ludzi znane są nietylko inteligencji, lecz i najszerszym warstwom ludu miejskiego i wiejskiego. Tymczasem my, Polacy, chociaż z takim trudem i wysiłkiem musimy budować swą przyszłość, niedbalstwem i obojętnością grzeszymy wobec tych, co życie całe wiernie i wytrwale służyli ojczyźnie. Niejeden, uważający się za człowieka wykształconego, z większym wstydem przyzna się do nieznamośności jakiejś modnej operetki, niż do tego, że nie czytał najwspanialszych każdemu sercu polskiemu drogich dzieł Mickiewicza, Kochanowskiego, albo Skargi.

Do sławnych, godnych pamię-

ci i miłości imion polskich należy imię Józefa Ignacego Kraszewskiego, zasłużonego pisarza. Imię to musi szczególnie bliskie i drogie być dla Litwy i Wilna, w Grodzieńskiej bowiem ziemi spędzał Kraszewski część swego dzieciństwa, w Wilnie zaś uczęszczał na uniwersytet.

Przyszedł na świat przyszły pisarz w Warszawie, w pamiętnym 1812 roku. Dzieciństwo spędzał częściowo w Dołhem, majątku ojca swego w gub. Grodzieńskiej, częściowo na Podlasiu w Romanowie u swej babki. Nauki początkowe pobierał w Białej Siedleckiej, na wyższe studia w 1829 roku skierował się do Wilna i tu zapisał się do uniwersytetu na wydział literatury i sztuk pięknych. Podczas pobytu w Wilnie mieszkał

na Wielkiej w domu Orłowskiej, gdzie obecnie hotel Wersal. Podobno Kraszewski w 1831 r. należał wraz z kolegami do wyprawy zbrojnej; zrazu skazany został na śmierć, potem miał pójść na Kaukaz, w końcu dostał się do więzienia na cały czas powstania. Po wyjściu z więzienia pomagał ojcu przy gospodarstwie w Dołhem, myśląc więcej o pracy literackiej, aniżeli o urodzajach. W 1838 roku ożenił się Kraszewski z Woroniczówną i osiadł jako dzierżawca na Wołyniu w Omelnie, w pobliżu rodziców żony. Ale i tutaj nie najlepiej szły interesy. Kraszewski był już dość znanym pisarzem, miał w swym dorobku „Historję Wilna“, kilka powieści i nieco poezji, pracował więc dalej usilnie, walcząc z rozmaitemi



Romanów na Podlasiu, siedziba rodzinna Kraszewskich.

kłopotami. W roku 1840 kupili pp. Kraszewscy wieś Gródek pod Łucikiem, na Wołyniu również, i tam się osiedlili.

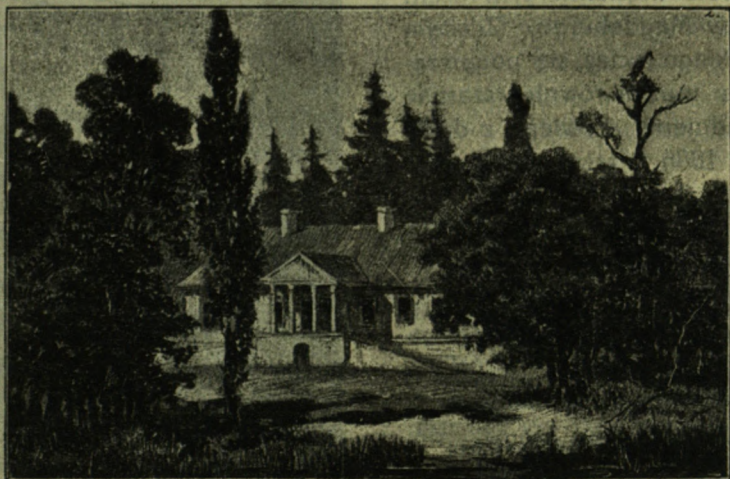
Imię Kraszewskiego zdobywało coraz większą sławę i rozgłos. Liczne artykuły, zamieszczane w pismach, jednały mu wielbicieli, ale i wrogów przysparzały. Najważniejszą, palącą sprawą w owych czasach była kwestja włościańska. Kraszewski, jako zwolennik zniesienia pańszczyzny, walczył o to nie tylko słowem donośnym, ale i czynem — zniósł bowiem u siebie w Gródku „daniny“ i „darem-szczyzny“. Stanowisko takie nie podobało się wielu, bardzo wielu zacofanym szlachcicom. Uważali go za rewolucjonistę, wywrotowca, ale Kraszewskiego to nie zrażało. „Jam sobie wziął, pisał on później, za godło życia wytrwałość. Już chyba sił nie stanie, żywota zabraknie w piersi i padnę na placu, to wówczas pogrzebiecie mnie z książką w jednej ręce, z piórem w drugiej i zamarłem słowem na ustach“.

Praca na roli nie udawała się Kraszewskiemu. Musiał sprzedać Gródek, nabył zaś mniejszą posiadłość w sąsiedztwie, Hubin, ale i tu „hreczka była siana po literacku, żyto wschodziło po łacinie, a gnój w poetycznym nieładzie był rozrzucany“, jak mówili sąsiedzi. W dodatku przyszły lata nieurodzaju, więc Kraszewski w 1843 r. oddał Hubin w dzierżawę a sam osiedlił się w Żytomierzu. Żytomier-

zanie przyjęli pisarza z otwartymi rękami, lecz obarczyli też mnóstwem obowiązków. Wybrano więc najpierw Kraszewskiego na kuratora szkół. Młodzież zyskała w nim serdecznego opiekuna, nie szczędził on bowiem ani trudów, ani pieniędzy, gdy chodziło o pomoc dla młodzieży. Jednocześnie Kraszewski pełnił obowiązki dyrektora teatru, prezesa towarzystwa dobroczynności i t. d., i t. d. Poza to pisał powieści, wysyłał mnóstwo listów, zajmował się wychowaniem dzieci. Od roku 1858-go, w okresie zjazdów szlachty w sprawie włościańskiej, walczył Kraszewski w dalszym ciągu o wyzwolenie ludu, o nadanie mu ziemi za indemnizacją. Ale zamiast posłuchu, wywoływał gromy nienawiści i oburzenia. Posypały się nie tylko kry-

tyki, ale zarzuty nieuczciwe, na które z wielką godnością odpowiedział Kraszewski w „Gazecie Warszawskiej“. Niedługo przed powstaniem styczniowym zamieszkał wielki pisarz w Warszawie, pełniąc obowiązki redaktora. W roku 1863 kazano mu opuścić granice Królestwa Polskiego. Nie miał do nich już wrócić nigdy.

Wygnyany osiedlił się Kraszewski w Dreźnie, stolicy saskiej, i oddał się całkowicie pracy pisarskiej. Stworzył w tym czasie liczny szereg powieści historycznych od czasów powstania Polski aż do współczesnego, porozbiorowego okresu. Umieszczał również mnóstwo artykułów w pismach warszawskich. W roku 1878 przypadał 50-letni jubileusz pracy Kraszewskiego. Postanowiono we wszystkich dzielnicach Polski, a nawet na obczyźnie gdzie tylko serca polskie były, uczcić go obchodami uroczystymi. Najuroczystszy obchód odbył się w Krakowie, w obecności sędziwego jubilata. Śpieszyły tam nie tylko delegacje wszystkich ziem polskich, ale i od Czechów, Francuzów, Włochów, by złożyć hołd człowiekowi wielkiego talentu, niepospolitej prawości, zacnemu obywatelowi. O jubileuszu tym jednak w ten sposób pisał do swego przyjaciela Kraszewski: „w kielichu tym, który wydawał się ludziom pełnym ambrozji bogów, nie mało było żółci i goryczy! To też mam po nim spalone wargi i tylko gorycz



Hubin, własność Kraszewskiego.

została. Wiele rzeczy zamilczeć muszę, wiele ich — ja tylko wiem“.

Chory, stęskniony, nie uzyskał bowiem Kraszewski pozwolenia na zobaczenie się z rodziną, mieszkającą w Warszawie, pędził swój samotny żywot w Dreźnie. Walka z własnym społeczeństwem o nowe prądy, ideje, o wolność chłopą, którego według słów Konopnickiej „brał w ramiona jak brata“, wreszcie bolesne wypadki krajowe ostatnich lat nie wypełniły jeszcze tego kielicha goryczy, który miał być udziałem Kraszewskiego. Ostatnie krople, najbardziej gorzkie, śmiertelne, czekały...

W 1883 roku ksiądz Bismark, prusak, gnębiciel i wróg nieprzejednany Polaków, oskarżył Kraszewskiego o zdradę stanu i zamknąć kazał w więzieniu Moabitu w Berlinie. Za staraniem A. Kraushara i adwokata berlińskiego Goldszmidta, wypuszczono Kraszewskiego do sprawy sądowej na wolność za kaucją 14 tysięcy rb. Z kraju, z pośród tłumu wielbicieli nie odezwał się nikt, nie wyciągnięto żadnej pomocnej, miłującej dłoni... Pisał wtedy Kraszewski: „Niemcy mnie pytają: cóż znaczyl jubileusz, kiedy dziś żywa dusza o was się nie zatroszczy“.

W Lipsku dn. 12 maja 1884 r. stanął Kraszewski przed sądem wrogów. Z ukochanej Warszawy, prócz jednego redaktora, nie zjawił się nikt z Polaków. Wyrok sądu skazał Kraszewskiego na 3 i pół roku twierdzy. Zamknęły się znowu wrota więzienne, tym razem twierdzy w Magdeburgu. Zdrowie Kraszewskiego wciąż się pogarszało. Duszę musiał również szarpać ból, znajdujemy bowiem z d. 30 listopada 1886 r. takie słowa:

„Nie mieć dachu nad głową i kąta na
ziemi
Być ściganym złoczyńcą, wzgardzonym
tulaczem
Przybędą się nazywać pomiędzy swojemi,
Zacznąć dzień od jęku, a kończyć go
placzem,
Napróżno żebrać pracy i błagać spokoju,
Szyderstwami być gnany, smaganym
potwarzą
Zwyciężonym bez walki, pobitym bez
boju,
Takim dziś losem, Boże, wyroki mię
karzą... „

Staraniom osobistym króla włoskiego Humberta zawdzięczać należy, że pozwolono Kraszewskiemu wyjechać na pół roku za kaucją, dla poratowania zdrowia do Włoch i Szwajcarii. Bismark nie doczekał się powrotu do więzienia wielkiego Polaka. 19 marca 1887 r. Kraszewski zmarł w Genewie. Zwłoki jego złożono w grobach zasłużonych na Skałce w Krakowie, tam gdzie spoczywa historyk Długosz, Rsnik, Wyspiański.

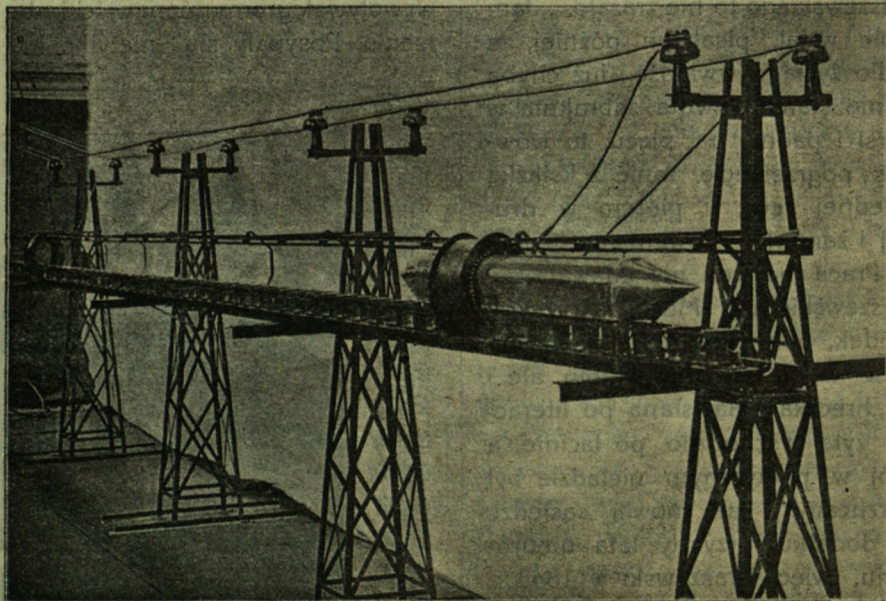
Zasług Kraszewskiego nie należy mierzyć wartością artystyczną jego dzieł. Sposoby wyrażania, utrwalań piękna, wciąż się zmieniają. Jakkolwiek polszczyzna Kraszewskiego jest przesliczna, styl niezrównany, to jednak postacie, charaktery osób występujących w powieściach mogą razić lub nudzić. Nie o budzenie też zachwyków artystycznych Kraszewskiemu chodziło, lecz o coś znacznie większego: o to, by społeczeństwo polskie zachęcić do czytelnictwa w języku ojczystym, by wyprzeć z salonów i dworów wiejskich romanse francuskie, a wprowadzić książki polskie, traktujące o ludziach i sprawach polskich, Pisał Kraszewski: „mnie chodzi o to, aby piszami swemi, przykładem, krzykiem, biciem poruszyć, rozruszyć, zachęcić. Oto mój cel, oto słowa, której pragnę—sława *pobudziciela*.”

Pomimo zawodów, niechęci, go-

ryczy, tego nie szczędziło Kraszewskiemu ani życie, ani własne społeczeństwo, dokonał on wielkiego dzieła. Dziś my wszyscy, nawet ci z pośród nas, co nic nie wiedzą o Kraszewskim, lub nie chcą wiedzieć, jemu zawdzięczamy rozpowszechnienie książek polskich wśród szerokich warstw społeczeństwa, jego wielkiemu talentowi, niezmqrdowanej pracy, wiernie kochającemu Polskę sercu obywatela.

Niezwykły wynalazek.

Z Londynu donoszą o wspólnym wynalazku francuskiego inżyniera, Emila Bachelet, mogącym sprowadzić przewrót w technice kolejowej. Po 20 latach wyężonej pracy Bachelet wystawił obecnie w Londynie model kolei, bujającej w powietrzu, przebywającej w ciągu godziny około 500 wiorst Bachelet wynalazł przyrząd odpychający metale, i na nim oparł swój wynalazek bujającej kolejki. Przekonano się, że np. cewki ze skręconego drutu, t. zw. solenoidy, przez które przepływa prąd elektryczny przemienny, mogą w pewnych warunkach odpychać metale, najłatwiej aluminium czyli glin. Tor kolei, obmyślonej przez Bachelet składa się z cewek (solenoidów), pociąg spoczywa nie na



Model pociągu napowietrznego inżyniera Bachelet.



W jednym z pism angielsk ukazał się obrazek, przedstawiający „osoby napowietrzne”. Ponieważ ich buty mają podeszwy z aluminium, osoby te podróżują na wzór pociągów Bachelet'a.

kołach, ale na podkładach aluminiowych. Gdy się włączy prąd elektryczny — rozpoczyna się działanie solenoidów: pociąg zostaje odepchnięty w górę i szybuje w powietrzu. Ponieważ stałe, zawodowe odbywanie podróży z taką szaloną szybkością mogłoby źle wpływać na zdrowie służby powietrznej kolei — więc Bachelet obmyślił również sposób poruszania i zatrzymywania pociągu z zewnątrz. Na szybkość pociągów tego nowego systemu nie wpływają ani różnica poziomu, ani skrzyżta dróg. Zużycie się części składowych ma być bardzo nieznaczne, co ogromnie udostępniło by ceny przejazdu, kosztownem jest tylko urządzenie i cena prądu elektrycznego.

Niewiadomo, o ile wynalazek Bachelet będzie mógł mieć zastosowanie praktyczne.

Zarząd pocztowy w Londynie ma zamiar użyć na próbę taką koleję do przesyłek między urzędami pocztowymi w stolicy.

Gdyby koleją pomysłu Bachelet można było podróżować, to z Wilna do Warszawy podróż trwałaby mniej więcej godzinę, z Wilna do Petersburga nie więcej nad półtorej godziny. Oszczędziłoby to mnóstwo czasu ludziom pracy i wywołałoby również olbrzymie zmiany w stosunkach handlowych całego świata.

Ale czy wynalazek ten będzie miał zastosowanie praktyczne — nic jeszcze niewiadomo. Obecnie najszybszymi pociągami są amerykańskie, mogą one przebywać 112 wiorst na godzinę. W Europie zaś pierwszeństwo pod względem szybkości należy przyznać pociągom francuskim — wykonują one przeszło 90 wiorst na godzinę.

Postęp techniki wciąż się zwiększa, szybkość pociągów z każdym rokiem wzrasta, podobno niedaleką jest chwila, gdy szybkość 150 wiorst na godzinę będzie szybkością normalną.

Słyszysz, Haniu?

Na kwitnącej, na jabłoni
Słowik dzwoni
Tak srebrzyście, tak miłośnie
O tej wiośnie,
O młodości, o kochaniu ..
— Słyszysz, Haniu?

Wiatry zwiwały
Ten kwiat biały
Z pachnącej jabłoni,
We mgle bladej
Stoją sady
I słowik nie dzwoni.

Później, wcześniej
Sen się prześni
I kochać przestane...
— Pod powieką
Lży mnie pieką
Lży niewyplakane!

Lucjan Rydel.

O język polski.

Litwomani. Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, że ludność polska parafji piwoszuńskiej, jeśli chce znaleźć kapłana, któryby wysłuchał spowiedzi w języku ojczystym, musi odbywać wędrówki dalekie po obcych parafjach. Proboszcz piwoszuński nie znosi brzmienia mowy polskiej nawet przy kratkach konfesjonału. Widocznie trwa on wciąż w tem przekonaniu, że wolno mu jest kościół zamieniać na warsztat do przerabiania Polaków na Litwinów.

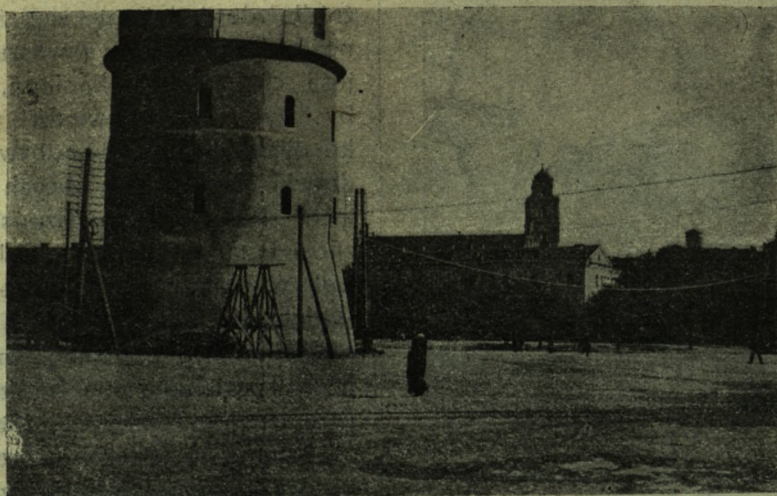
Trudno zrozumieć, dlaczego pokrzywdzeni parafjanie nie zanoszą skargi na rozpolitykowanego kapłana do zwierzchności djecezejalnej.

W Mińsku. Kancelarja gubernatora po raz pierwszy od roku 1909 udzieliła pozwolenia na wydrukowanie tekstu polskiego obok rosyjskiego na afiszach teatralnych.

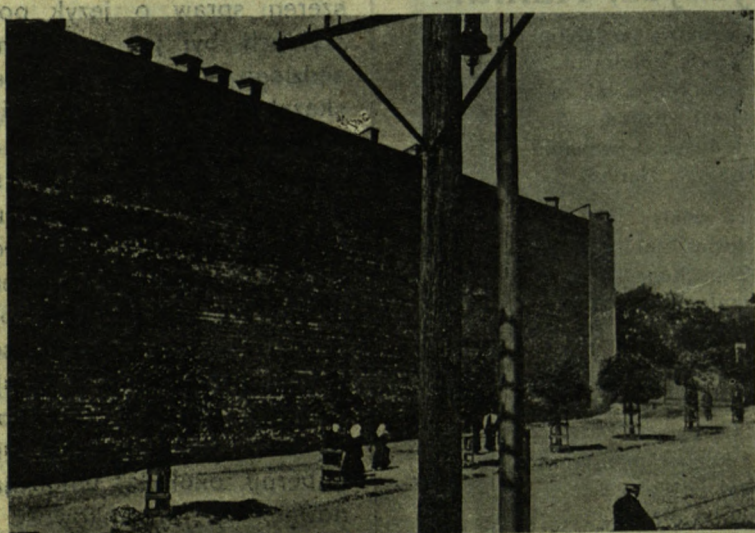
Rusyfikacja Chełmszczyzny. Zjazd sędziów pokoju rozważał w tych dniach pierwszą z szeregu spraw, wytoczonych przez policję różnym instytucjom i kupcom w nowo utworzonej gub. Chełmskiej o język polski. Policja, jak wiadomo, chce, aby na wszystkich szyldach napisy były tylko rosyjskie i żąda usunięcia polskich. Zainteresowani obywatele dowodzą, że pretensje policji nie są oparte na jakiegokolwiek podstawie prawnej i odmawiają ich wypełnienia. Cały szereg spraw o język polski na szyldach był już rozważany przez sędziego pokoju w Chełmie, który skazał opornych obywateli na kary, przyznając słuszność policji. Skazani apelowali. Zjazd sędziów pokoju uchylił wyrok poprzedni i umorzył wszczęte przez policmajstra chełmskiego dochodzenia.

Władze ministerjalne przerobiły cały szereg nazw niejścowości w Chełmszczyźnie, nadając im brzmienia rosyjskie. Jednocześnie rozesłano do administracji nowej gubernji okólnik, nakazujący pilnować, by rachunkowość i korespondencje prywatnych stowarzyszeń i instytucji drobnego kredy-

JAK MOŻNA SZPECIĆ MIASTO. I



Na ulicach i placach Wilna poustawiano cały las belek, między nimi przeciągnięto sieć drutów i lin grubych.



Na najpiękniejszej ulicy Wilna, Antokolu, zarząd więzienny wznosił do swego użytku gmach okazały, którego front piękności nieopisanej tutaj podajemy.

tu były prowadzone wyłącznie w języku rosyjskim. Również adresy wszelkiego rodzaju przesyłek pocztowych (z wyjątkiem wrzucanych do skrzynek pocztowych) mają być pisane po rosyjsku. Rozporządzenie to dotyczy przesyłek, wysyłanych w obrębie gub. Chełmskiej, jak i adresowanych do niej.

Nasze sprawy w Dumie.

Podczas dalszych obrad nad budżetem państwa na rok 1914 Duma najwięcej uwagi poświęciła działalności ministra oświaty. Z wyjątkiem prawicy, która rozpyślała się w pochwałach dla polityki ministra Kasso, większość mówców wyraziła zdanie, że działalność jego stawia tamy rozwojowi oświaty w państwie i prowadzi do upadku kultury. W zakończeniu dyskusji nad budżetem ministerjum oświaty uchwalono wniosek, potępiający surowo działalność tego ministerjum. Między innymi w uchwale jest mowa o tem, że usuwanie języka ojczystego ze szkoły dla dzieci nierosyjskich budzi niezadowolone rodziców i dlatego jest szkodliwe dla państwa. W dyskusji nad budżetem ministerjum oświaty przemawiało dwóch Polaków: poseł kaliski Parczewski i wileński, ksiądz Maciejewicz. Pierwszy dowodził, że w Warszawie powinien być uniwersytet polski. Drugi zaś mówił o polityce szkolnej władz na Litwie i Rusi. Wskazał on na to, że kurator wileńskiego okręgu naukowego zmniejszył nieprawie ilość godzin, przeznaczonych na naukę religii katolickiej w szkołach.

Ograniczenia te są większe dla dzieci polskich niż litewskich. Dalej poseł wileński mówił, w jaki sposób władze szkolne określają narodowość uczniów i przytoczył jaskrawe przykłady nadużyć, popełnianych w celu narzucenia dzieciom przy nauce religii języka obcego... Gdy mowa o wyborach do Dumy państwowej, — są słowa ks. Maciejewicza — wtedy zalicza się Polaków



Po trzęsieniu ziemi na Sycylii.

do kurji polskiej, gdy czynią oni starania w celu otrzymania jakiegokolwiek-bądź posady rządowej; wtedy mówi się im, że Polakom wzbroniony jest dostęp do urzędów państwowych. Ale kiedy ciż sami ludzie pragną kształcić swe dzieci w mowie ojczystej, wtedy im się powiada, „że są Białorusinami, a zatem dzieci ich muszą uczyć się tylko w języku rosyjskim“.

Dalej mówca dowodził, że szkoła na Litwie i Rusi dąży wyraźnie do rusyfikacji młodzieży. Dlatego rodzice oddają swe dzieci do szkół tylko z konieczności.

Przy innej okazji, podczas dyskusji nad budżetem ministerjum komunikacji, poseł płocki Góścicki wykazał, że kolej warszawskowiedeńska odkąd przeszła pod gospodarkę rządu chyli się ku upadkowi.

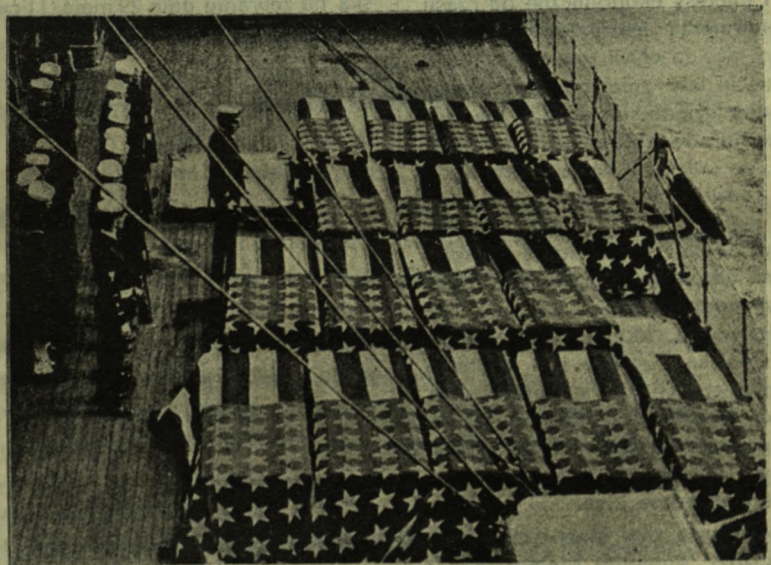
Poza tem należy nadmienić, że w tych dniach został uchwalony przez komisję Dumy projekt prawa o zniesieniu serwitutów w Królestwie Polskiem. Lewica starała się projekt ten pogrzebać. Dzielnie jej w tem pomagali Litwini w osobach ks. Łunkajtisa i Iczasa. Na szczęście wysiłki te okazały się daremne. Projekt przeszedł z temi poprawkami, jakie proponowali posłowie polscy Kiniorski, Jaroński i Nakonieczny. Dalszych jednak losów tego projektu nie sposób przewidzieć; musi on przejść przez Dumę i Radę Państwa. A co one zrobią z tym projektem, Bóg raczy wiedzieć.

Po tym projekcie przyść ma kolej na zniesienie serwitutów na Litwie. Pewno na jesieni projekt odpowiedni zjawi się w komisji Dumy.

Z nowych książek.

Stanisław Belza. BYĆ ALBO NIE BYĆ. (Mój głos w sprawie żydowskiej). Warszawa r. 1914. Str. 72.

Książka ta pisana stylem żywym i



Trumny ze zwłokami majtków amerykańskich, poległych pod Vera-Cruz, na okręcie wiozącym je do Ojczyzny.



Pogrzeb majtków amerykańskich, poległych pod Vera-Cruz.



Walka z sufrażystkami angielskimi, które chcą się dostać do palacu królewskiego.

pociągającym oraz z wielkim uczuciem patriotycznym, doczekała w ciągu roku aż dwóch wydań.

Autor przedstawia w niej zgubny wpływ żydów na naszą naukę, myśl narodową i interesy ekonomiczne od czasu równouprawnienia ich przez hr. Wielopolskiego aż do chwili obecnej. Przed pięćdziesięciu laty „nie mieliśmy powiada — żydów dziennikarskich, w literaturze, w gronie adwokatów, doktorów i inżynierów, do świętych ognisk domowych naszych rodzin, nie przedostał się ich zabójczy wpływ“. Była to tylko masa, nie mająca żadnej styczności z naszymi interesami narodowymi. Od chwili zaś owego równouprawnienia wyłoniła się z niej inteligencja, która pozornie zlawszy się z polską, wyparła nas z placówek ekonomicznych, ze stowarzyszeń, a za pomocą opanowanej prasy pod płaszczykiem postępu poczęła szerzyć wśród najszerszych mas ludu polskiego rozkład i wszelkie przewrotne idee.

Na podstawie cyfr statystycznych autor wykazuje dobitnie niebezpieczeństwo ekonomiczne dla Polaków ze strony żydów w chwili obecnej.

Wogóle książeczkę niniejszą przeczyta z zajęciem każdy, kogo sprawy polskie obchodzą i są drogie.

Leon Łastowski.

Wiadomości bieżące.

O budowę teatru. Rada miejska wileńska na zebraniu dnia 29 maja (11 czerwca) uchwaliła budować teatr na Łukiszkach, przeznaczając na ten cel 330 tysięcy rubli. Jednocześnie Rada miejska zastrzega, że teatr ten ma służyć potrzebom kulturalnym całej ludności Wilna.

Usuwanie szyldów polskich. Wilejski isprawnik powiatowy Josyf Sygizmunto-wicz Wiszniewskij, pochodzący z polskiej rodziny, sam do niedawna katolik, zażądał od zarządzającego apteką w Wilejce p. Bujniwicza, właściciela wędliniarni p. Pieczuro i trzech właścicieli hotelów żydów, byli zdjeli lub zamalowali napisy polskie na szyldach.

Żądaniu p. isprawnika stało się za-dość, ponieważ wszystkie wyżej wymie-none osoby obawiały się odpowiedzialności sądowej.

Na skutek żądania tego samego ispra-wnika zostaty usunięte napisy polskie z szyldów w Molodecznie.

PLASKORZEŻBA Z BRONZU.

PORTRETY

Księcia Józefa
Poniatowskiego

w wykonaniu ARTYSTY-RZEŹBIARZA

St. Lewandowskiego

CENA 5 RUBLI

Są do nabycia w Administracji
„Wiadomości Ilustrowanych“.

ALBUM
ROBÓT
RĘCZNYCH

(WYDAWNICTWO BŁUSZCZU)

Roboty krzyżkowe, siat-kowe (filet guipure) me-reszki, roboty szydełko-we makramè, koronki klo-ckowe, hafty, aplikacje i t. p. —: —: —: —:

Dwa zeszyty po 1 rb. każdy (z przes. poczt. rb. 1 kop. 25) są do nabycia w Administracji „Wiadomości Ilustrowanych“

Wilno, Wileńska 23.

ŻYCIE wasze, POSAGI dla dzieci,
UBEZPIECZAJCIE

w jedynym POLSKIM, opartem
na wzajemności, T-wie
Ubezpieczeń
na tanich i dogodnych
warunkach

„PRZEZORNOSC“

Ubezpieczenia
mogą być zawle-
rane już od Rb. 100
aż do 300 tysięcy. Składka
miesięczna od 17 kopiejek.

Z sumy przeznaczonej na dwi-
dendę ubezpieczeni otrzymują 70%
Wszelkich informacji szczegółów udziela
bezpłatnie Biuro Głównej Reprezentacji na Litwie
Żmudz i Ruś: WILNO, Botaniczna 1.

Zarząd. Okręg. JÓZEF KOROLEC. Poszukiwani są ajenci.

Przypominamy, że czas odnowić
prenumeratę na drugie półrocze.
Wszystkie nieopłacone egzempla-
rze zostaną od dnia 1 (14) lipca
wstrzymane.

ADOLF DYGASIŃSKI.

Targaj.

(Dokończenie).

— Widzisz, Mendlu, świat taki piękny, jasny, a ty siedzisz w ciemnej dziurze!

Wtem jakiś szelest zwrócił jego uwagę; spojrział w bok i zobaczył na dnie wilgotnego dołu strasznie nabrzmiałą, z wydętymi bokami ropuchę, która leniwym krokiem prosto ku niemu zmierzała. Oboje spojrzeli sobie bacznie w oczy; żaba wyciągnęła poważnie przednie łapki i znowu poczęła leżeć prosto ku człowiekowi. Żle się Mendlowi zrobiło, zdało mu się bowiem, że w oczach ropuchy wyczytał jakieś niedobre zamiary. Powstał i począł się drapać w górę; ale zaledwie na wierzch pokazał głowę, gdy obudzony Targaj wydał straszliwy głos: „Mrrrr!”

Puścił więc pachciarz swoją deskę zbawienia i po raz wtóry spadł na dno studni. Pies jednakże nie porzucił bynajmniej stanowiska, niby piekielny Cerber. Cicho a gorzko westchnął sobie zrozpaczony Mendel.

Tymczasem Rywka, nie mogąc się doczekać powrotu męża, postanowiła go odszukać. Poszła do piwnicy, ale piwnica była zewnątrz zamknięta na kłódkę. Udała się do dworu, w mniemaniu, iż Mendel prowadzi tu z dziedzicem jaką konferencję. I we dworze nikt nie widział pachciarza. Szła więc na wieś i dopytywała się po chałupach. Tu także nikt nie umiał nic powiedzieć. Gdzie się mógł zapodzieć?—pytała sama siebie zaniepokojona kobieta. Nasuwały jej się rozmaite myśli. Juścić nie utonął, bo w Szarbicach była tylko kałuża, po której gęsi prawie piechotą chodziły. Nie rozszarpały go dzikie zwierzęta, bo las był bardzo daleko. Troska, trapiąca Rywkę, udzieliła się panu Nachajskiemu, który znowu ujrzał, iż mu grozi niebezpieczeństwo stracenia pachciarza, pozyskanego z niemalym trudem. Począł i on sam przykładać rękę do poszukiwań. Szukano w spichrze, szukano w stodołach, po zapolach, i pod strzechą obory, i na strychu wedworze.

Dzień chylił się zachodowi, a coraz smutniejsze myśli oblegały zarówno umysł Rywki, jak i panna dziedzica. Puszczono się na pole domysłów. Dziewki dworskie utrzymywały, że mógł „dostać wielkiej choroby i leży kaj w przykopie”. Fornale znowu z pewnym sensem twierdzili, opierając się na fakcie z przeszłości poprzedniego pachciarza, że „bez chyba oszalał i poleciał kaj niebądź do miasta”, ponieważ — mówiono — woda w Szarbicach „je tako, co zydom nie służy”.

— Obleć-no mi Jagniszka jeszcze koło budynków, tam po końskim zębie! — zawołał sfraso-

wany dziedzic, podczas gdy Rywka ze łzami w oczach lament zawodziła.

Jagniszka była to głupawa ale duża dziewa pod ceber. Koński ząb zaszumił tylko, kiedy się przez gąszcz jego poczęła dziewczka przedzierać, nawołując:

— Myndlu, Myndlu!... A odezwijze się, psia wiaro, parchu!... Jesce bede po próznicy za tobom guniła kiele domu!

Na ten głos, zamiast Mendla, pojawił się Targaj, który porządnie użył wywczasu i począł się do Jagniszki łaścić.

— No, ludzie!... Widzicie! — zawołała dziewczka. — A cuz ta zaciecona tutaj robi?

I kolosalną swoją nogą kopnęła psa potężnie.

Targaj niebardzo się zdekonzertował tem potraktowaniem; owszem, pobiegł przed Jagniszką prosto nad dół i począł zawzięcie szczekać. Dziewucha zbliżyła się, sądząc, iż pies ma do czynienia z kotem w dole, i zobaczyła na dnie pachciarza, który odezwał się pokornym głosem:

— Moje ślicne Jagne, ratuj!

— To wy, Myndlu, siedzicie w dole, cy co?...

— A jakże ja, Mendel... pachciarz!

— O! Nojświentse Imie Jezus! Jakżeście się tyz wtarabanili w takim dziure!

— Ny, jacto? Dyć tyn łajdok, ten Targaj!..

— Rany Boskie, co tyz godocie, Myndlu, toć ta zatracona nikomu nie skodzi tyle co za pazurem ciorne.

I tu Jagniszka podała pachciarzowi swą energiczną prawicę, wyciągając go ze starej studni, gdzie o mało że już nie umarł ze strachu, zwłaszcza, iż pod wieczór pojawiała się coraz więcej ropuch, a wszystkie skakały i wylażyły na ciało człowieka.

Dopieroż była radość wszystkich, gdy tryumfująca Jagniszka wyszła z końskiego zęby, wiodąc ze sobą Mendla. Targaj jakoś poczuwał się snadź do winy, gdyż wcale nie wyszedł na dziedziniec; stał w gęstwinie końskiego zębu i wyglądał zdalka a bardzo ostrożnie.

Mendel z wielką fantazją i wśród nader żywych gestów opowiedział całe swe zajście z Targajem. Dziedzic był tak uszczęśliwiony odszukaniem zguby, iż się śmiał serdecznie z tej przygody. Stojący na boku parobcy drwili. Jagniszka zaś tak się odezwała:

— Zeby tyz tyłośny drong przed lada psikiem do studni się chował!..

— Oj, głupio, wis ty, ze taki, co świencony wody nie widziol, to się cego nibądź bojąc musi, bo go ciort strachol — zawołał z przekąsem karbowy.

— Juścik i jo to pedom, mołściewy, tylo, co pies, to nie ciort! — odrzekła Jagniszka.

— Łażeliby kuzdy zyd tak myśloł, to bez cu

się waguje przed psem, klej bez wieś lizie?... — powiedział znowu karbowy.

— Toć ta swok Marek, co na ksionsce znam, pedali, że jak zydziska rozkzyzowali Pana Jezusienka, to od tamtela rozleźli się po drogach i łazom — mówiła Jagniszka.

— A no, Marek rozumiem takie rzeczy, jak się patrzy! — rzecze karbowy. Zydom Pan Bóg kazuje i tak już musom...

* * *

Odtąd nienawiść jeszcze bardziej wzrosła pomiędzy Mendlem i Targajem; pies gotów był rzucić się na pachciarza w każdej chwili.

W kilka tygodni po wypadkach powyżej opisyanych Mendel siedział przed domem i przyglądał się na słońcu serkom, ściśniętym w praskach, z których serwatka odpływała w szafliki podstawione. Dokoła Mendla igrało dwoje małych jego potomków, palcami robiąc dziury w błocie i plując w nie po kolei. Było to w niedzielę i po południu, więc powszechnemu próżniactwu oddawał się też i lud chrześcijański w Szarbicach. Opodal przy płocie stał młody parobek w czerwonej czapce z pawiem piórem i od czasu do czasu zagrał na drewnianej fujarce. Co przegrał zwrotkę, to z fujarki wylewał na ziemię ślinę. Wreszcie sprzykrzyła mu się ta czynność, przeto podszedł ku pachciarzowi i począł się także przyglądać serkom.

Dalibyście oto, pachciarzu, przy święcie kęs twarogu! — rzekł parobek naiwnie do Mendla.

— Ło cygi ja ci mom dać? Cy jo za tyn tworog nie płacę dziedzicowi?

— Co dzień się naharuje, kiej wom dla krów woze z pola okuncyne, tobyście i dali ksyně!

— Ny, co ty Wojtek myślis, co tu jaki gesieft lo mnie w Sarbicach?

— A no, bo krowiska, kieby stodoły, a żryć im nie dajom... Bele cem gemby nie zatko zwirzenciu, a dziedzic zawdy kazuje nie zabirać z pola syckiego, co nakosą. Ta i pies by zdech przy takich marnościach...

— Jakby on zdech, to jaby ci doł tworogu! — rzekł Mendel, mając na myśli Targaja.

— Cy pedocie o tym dworskim Targoju?... Puno was kiedyś nastrachał. Jagniska pedziała, izeście z ziabami w dole do zmierzchu przelezeli?

— Ny, zeby un zdech, to jaby ci Wojtek, doł pół syrka...

— Un mi ta nic nie krzyw, lezy ino łogawiec bez cały dzień pod spiklirzem...

— A po co jemu z pachciorzem zacynać?... Cy ja tu nie płacę?

— Jakbyście mi dali cały serek, tobym go obiesił!... — rzekł Wojtek, zbliżając się bardziej do pachciarza.

— Na co jemu obiesić? Kiejby zjod chleba ze skłem, toby i tak nie zył...

Wojtek się zamyślił. Po chwili rzekł:

— Ta nie dziwo... Skła natłukę, zamisom z chlebem i smyrgnę sobace. A cy dacie serek?

— Syrek, widzisz, taki duży... Ja ci go dam, Wojtek, ino mu dobrze zadej.

We trzy dni potem Wojtek wszedł do mieszkania pachciarza.

— Myndlu — zawołał — dajcie syrek, pies już kopyrknuł...

— Ny, coś ty jemu zrobił?...

— Co? Nie wiecie? Co? Strułem pokrake i lezy w ony stary studni za końskim zembem, ino wirgnuł nogoma.

Mendel ukrajał wążki kawałek sera i podał Wojtkowi, który wziął ser w rękę powoli i drapiąc się w głowę, spytał:

— Cy to taka była zgoda? Dyć mieliście dać cały syrek!

— Mój ty, Wojtek, zastanów się!... Za takiego huncwota jabym tobie syrek dawał. Wiesz ty, co to syrek? To trzy duże gary mlika!...

Wojtek schował krajankę sera i wyszedł. Targaj nie żył.

DEOTYMA (Jadwiga Łuszczewska).

Panienka z okienka.

Starodawny romansik.

(Ciąg dalszy).

— Przeszłabyś Frau lepiej do nas.

I podał jej rękę. Ona położyła lutnię, weszła na ławkę i, przeskoczywszy przez obie poręcze stykających się z sobą ganków, usiadła obok Pana Schultza.

— Prezentuję Waćpani wielkiego u mnie gościa. Oto IMci Pan Kaźmierz Korycki, herbu Prus, oficer królewski od Wodnej Armaty. A oto pani Flora Korwiczkowa, wdowa po moim dobrym som-siedzie, co był sławetny pan Bonifacyusz Korwiczek, majster passamonnik, i to majster nad majstry. Takiego drugiego nie mamy już w Dantzigu.

Temi słowy zapoznawszy swoich gości, pan konsul zaczął opowiadać pani Florze dziwną przygodę, dzięki której Hedwich, jako się zdaje, odnalazła brata i familję. Piękna wdowa, słuchając z niezmiernem zajęciem, spoglądała kolejno z pod oka, to na pana Schultza, to na pana Kaźmierza, jakby w duszy chciała ich obrazy porównywać i coś z onych porównań wysnuć.

Pan Kaźmierz przyglądał się jej także pilnie, i nie bez podziwu. Ubiór i postać tworzyły tu zupełne przeciwieństwo; ubiór był żałobny, surowy, smutny; z całej zaś tej fertycznej osobki było tyle

zdrowia, blasku i wesołości, że wszystko razem wyglądało tak, jakgdyby kto czarną wstążką przewiązał pęk róż stulistnych. Pani Flora była istotnie podobna do róży, pierś miała wypukłą, na licach kwitnące rumieńce. Musiały jednak pod tą wabnością kryć się kolce nieugiętej woli, bo wkłó warg rozkosznie rozchylonych snuł się ciemny meszek, a z pod brwi prawie czarnych, równych, długich (zadziwiająco równych i długich) świeciły oczy podbójcze, na których dnie połyskiwało coś twardego, jakby stalowa blaszka.

W owym też, na pozór skromnym ubiorze, po bliższem rozpatrzeniu, wzrok odnajdywał mnóstwo szczegółów, świadczących, że piękna wdówka więcej musiała myśleć o żywych, niżeli o umarłych. Suknia była wprawdzie z czarnej wełny, kołnierz płócienny gładko wywinęty, ale jedno i drugie skrojone tak przesłicznie, noszone z takim wdziękiem, że i różowa szata nie wydałaby się wesejszą. Miała też na głowie czepiec wdowi, jak przystało z czarnych nicianych koronek, ale jego maleńki okrąg był tak zalotnie przypięty i swoim aksomitnym jęczyzkiem tak zaczepnie na czoło się wysuwał, że przywodził myśl o ślubnym wieńcu. Miała też na sobie i trochę klejnotów, jedynych, jakie w czasie żałoby godziło się nosić. Były to trupie główki z białej kości, powiązane ogniwami ze srebra, wyrobionemi w drobniutkim kształcie parzystych, nietoperzowych skrzydeł; oprócz takich manelek i zausznic, miała jeszcze u pasa i srebrną banieczkę, którą czasem podnosiła dla wachania, a ile razy odetkała trupią główkę, tworzącą jej koreczek, wnet cudne zapachy rozchodziły się po całym ganku.

— Co Waćpani za elixyry z sobą nosisz? — zapytał pan Kaźmierz.

— Ach, jakoż nie mam nosić? Mnie na Chrzcie Świętym dano Flora, i ja też, jako ona bogini, bez kwiatów usycham, a tu przy tych kirzech nie mogę się nimi obsypywać, więc chociaż ich wonnościami się pasę.

— I długoż to jeszcze dla Waćpani tych kirów?

— Ach! jeszcze całe dwie niedziele. A potem już koniec. Jenó w sercu nie koniec. Do grobu ja będę płakała po moim nieboszczyku. Jak on adorował swoją Florę! Nigdy nie widziała równie zacnej pasyi. Cudny to był człek. Szkoda jenó, że kostera. Aleć też Pan Bóg srodze go pokarał. Nazbyt człeczyna miłował kosteczki, no i teraz już z niego nic, jenó kosteczki.

Pan Kaźmierz lubił krotoczwile, ta jednak nie w smak mu poszła; przyciął usta i zamilkł.

Pani Flora też już na niego nie zważała. Zwróciwszy się całą postawą ku panu Schultzowi, weszła z nim w żywą rozmowę, przyczem co chwila pokazywała w śmiechu swoje wiewiórcze ząbki,

albo przyglądała się swojej rączce, ubranej pierścieniami.

* * *

Młodzieniec, widząc, że starsi państwo na niego nie baczą, wstał i przystanął za krzeselkiem Hedwigi. Miał ochotę powiedzieć jej niejedno słodkie słówko, ale go korciła obecność Korneliusa, tuż poza niemi siedzącego.

Pochylił się więc do jej ucha i szepnął:

— Czy to ten czeladnik zawdy tak z Waćpanstwem siedzi w kupie?

— A zawdy. Co robić? Dobrodziej wielce go konsyderuje. Ale dla mnie to utrapienie.

— Al i z jakowej racyi?

— Bo mię fatygują te jego wylupiaste, ollanderskie oczy. Gdzie się ruszę, tam i te oczy za mną, jak szpiegusy.

— Żebym jenó śmiał, tobym go przepędził na dziesiątą ulicę.

— Nie czyń tego Waszmość, ja sama go przepędzę.

I, obróciwszy się niedbale, przez ramię mówiła do Korneliusa:

— Skocz-no Asan po nowe powismo lnu. Znajdziesz tam w podwórku, na składzie.

Czeladnik zarumienił się i skoczył.

— Coś Waćpanna zrobiła najlepszego? A toć on za moment znów przylezie!

— To ja go znów przepędzę, chociażby i dziesięć razy. Jakoż się nasza sąsiadka Waszmości wydawa? Urodziwa, co?

Mówiąc to, niespokojnie spojrzała w oczy Kaźmierzowi. Ten się uśmiechnął z wewnętrznego zadowolenia.

— Hoża niewiasta — odparł — jenó musi być okrutnie rezolutna.

— A toś Waćpan trafił w samo cetno. Dobrze to taką być. A ja tego nie umiem, ja się każdego stracham.

— Uważasz-no Waćpanna, jak ta pani Flora mizdrzy się do pana Schultz? Czy oni mają się k'sobie?

— Ach, dałby to Bóg!

— Tak powiadasz Waćpanna? Dałby ty Bóg? A mnie się widzi, jako pan Schultz bliżej siebie szuka żonki.

— Skąd się to Waszmości увидziało?

— Bo mi sam gadał.

— Więc on o tem gada? O Boże, jakoż ja nieszczęśliwa!

— Tedy Waćpanna tego nie masz w życzeniu?

— Och nigdy! Ja dobrodzieja respektuję z affektem, jak oćca, i nazywałam go zawdy „faterkiem“, aleć od śmierci pani Doroty i tego mi zakazał. Ale ja tego nie zrobię. Jam jej obiecała, że nigdy nie pójdę za lutra. Dosyćem ja się na-

patrzyła, jaka to dezolacja, kiedy mąż innej wiary, a żona innej.

— Bardzo ja szczęśliw, że Waćpanna jesteś takowej rezolucyi.

Hedwiga stanęła w płomieniach i, podnosząc nieśmiało oczy, zapytała:

— A co to Waszą Miłość może obchodzić?

— A i bardzo. Jeśli ja Waćpannie mam być bratem, to nigdy nie dam assentymentu na takowy nieklejnotny mariaż.

Hedwiga spuściła oczy.

— Ach tak... Prawda... Waszmość masz być bra...

Zamilkli na chwilę.

* * *

Właśnie też wracał Kornelius, niosący aż dwa powisma. Hedwiga zaraz mu jedno kazała odnieść na powrót, potem go słała do Miny, dla dowiedzenia się, czy prędko będzie gotowa wieczera, a nakoniec kazała mu szukać swojej chustki, tej z niebieskimi chwaścikami, którą zostawiła gdzieś, sama nie wie w jakiej komorze i na jakim piętrze. Tym razem Kornelius siedział bardzo długo, dziesięć razy obiegł wszystkie piętra li obszukiwał wszystkie kąty, nakoniec wrócił bardzo zmartwiony, nie odnosząc chustki, a to dla wielce prostej ale jemu nieznaney przyczyny, że chustka ciągle spoczywała w Hedwigowej kieszonce.

Przez ten czas Kaźmierz i Hedwiga, oparci o złotą kratę, przyglądali się przepływającej publiczności. A było na co patrzeć. Jeżeli w godzinach roboczych dalsze ulice pracowitego miasta przedstawiały się pusto i głucho, zato w godzinie przedwieczornej cały ten tłum spracowany wylegał dla odpoczynku i przechadzki, a wylegał rojnie i strojnie. A stroje pstrzyły się tą niesłychaną różnorożnością, jaka zazwyczaj panuje w wielkich miastach portowych. Oprócz ubiorów niemieckich i holenderskich, przeważających liczbą, można było dostrzedz i wielu naszych ziemian, łatwych do poznania po czapce włożonej „brodźcem“ i po „marynałce“, czyli pasiastej opończy, jaką się zazwyczaj u nas kładło na samem wsiadaniu do komięgi. Owi sielscy przybysze, sprzedawszy rano swoje żyto albo pszenicę, chodzili teraz po mieście, zadzierając głowę, dziwując się kamiennym ozdobom na domach i zamorskim gościom na ulicach. A było tych zamorczyków niemało: żółtowołosie Angliki, kraciaste Szkoty, czarno-okie Portugały z siatką na włosach, jak u białogłowy. Czasem pojawił się człowiek z Lewantu, Grek o kaptanie cudnie wyszywanym, lub Albańczyk białofałdzisty; gdzieniegdzie nawet, niby tulipan, zakwitł turban bisurmański. Niektórzy z przechodniów zatrzymywali się przy gankach i przez kraty wie-

dli rozmowę z siedzącymi na nich mieszkańcami domu, lub, zaproszeni, wchodzili na taras i siadali przy rodzinnych stołach. Inni dążyli na zamiejskie przechadzki, w które Gdańsk zawsze obfitywał. Między tymi najliczniejsze były panny, plemię nigdy niesynte ruchu; nałożywszy na stanik mąłą pelerynkę, obszytą ciemnym passamonem (takim samym, jak i u sukni), a na głowę kapelusz słomiany o maleńkim denku i ogromnych skrzydłach (zupełnie podobny do naszych dzisiejszych „pasterek“), szły całemi trzódkami, pod wodzą matek lub ochmistrzyń, co je oprowadzały niby dla przyjemności, w rzeczy zaś dla złowienia pana-męża.

* * *

— Waćpanna lubisz spacer?—zapytywał Kaźmierz.

— Och, pasyami! Muszę ja być ze wsi rodem, bo w tych kamiennych ulicach duszę się i wędnę, a zawdy jeno wdycham do zielonych liściów i łączek. A u pana miecznika czy dom duży? Czy także na nim takie złote rzezania? A ogród jakowy? Czy jak na Biskupiej Górze?

I zasypywała pana Kaźmierza pytaniami o jego rodzinę, o nieboszczkę matkę, a zwłaszcza o tę zaginioną siostrzyczkę. On [nierad był przyznać się do niedostatków domowych, ani zgłębiać owe-go mniemanego pokrewieństwa, jak mógł się więc wywijał i ciągle zwracał jej uwagę na bieżące przedmioty.

— Czy widzisz Waćpanna ten potroisty kołnierz, co wisi temu kawalerowi do pasa, niby trzy małuśkie białe płaszczki? To najnowsze kawalerskie noszenie.

— Widzę. O jakież to trefne! Jakoby mel-szpeis, co się nie udał i oklapł.

— A tak, to też to się nazywa „kołnierz z konfuzyą“, niby tak się skonfundował, że, jak Waćpanna z figielkami powiedasz, oklapł.

I śmieli się do rozpuku, z tą pustotą młodości, co tylko sobie szuka pierwszej lepszej przyczyny do śmiechu.

— O dla Bogal! — wołał znów pan Kaźmierz. — Cóż to za flotyla ciągnie ku nam?

— To żona i córki tego grubego Van der Herna; co ma pono aż dziesięć okrętów.

Osoby, którym się przyglądali, były spowinięte niderlandzkim „huikenem“, czyli długim welonem, tworzącym rodzaj płaszczka, który się przytwierdzał na wierzchu głowy pod maleńkim kapelusikiem; kapelusik ten, niby grzyb wywrócony, wystrzelał w górę sporym prątkiem, który się zakończył grubą kulą puchu.

(D. c. n.)